

REPORTAŻ





IGOR SOKOŁOWSKI

INNY ŚWIAT

Najpierw wniosek o wizę. Płatne sześć dolarów, bez względu na decyzję o przyznaniu wizy, bądź nie. Trzeba odpowiedzieć na kilka prostych pytań. Urząd interesuje się tym, kim jesteśmy, gdzie pracujemy, gdzie mieszkamy, czym przyjeździemy, gdzie się zatrzymamy po przyjeździe i czym będziemy płacić. Trzeba również wypełnić kratki dotyczące naszej karalności, związków z terrorystami oraz - oczywiście - powodu, dla którego chcemy w ogóle przyjechać. Później wykupienie obowiązku dla obcokrajowców ubezpieczenia, (koszt 30 zł). Kiedy już skompletujemy papierki wraz z paszportem, składamy wszystko razem w konsulacie lub ambasadzie. Pięć dni roboczych oczekiwania na rozpatrzenie wniosku. No i jeżeli bez problemów otrzymaliśmy stosowną naklejkę do paszportu, misję można uznać za spełnioną. Jedziemy na Białoruś!

Na przejście graniczne w Terespolu przyjeżdżamy samochodem międzynarodową trasą E-30, relacji Berlin-Moskwa. Granicę można przekroczyć tylko pociągiem bądź samochodem, a że jechałem sam i samochód musiał zostać po polskiej stronie, to skorzystałem z pociągu. Ponieważ trasa wynosi raptem 8 km, bilecik kolejowy kosztuje niecałe 4 złote.

Od razu po wejściu do pociągu pierwsza konfrontacja z nieznanym mi narzeczem. I o ile na pierwsze pytanie: *pasport bielaruskij czy kakij?* Umiałem odpowiedzieć, to pozostałe dwa zdania wypowiedziane przez blond panią przy kości pozostały niezrozumiałe. Na szczęście polski strażnik wyjaśnił mi po chwili, że dwa druczki całkowicie po rosyjsku, jakie otrzymałem, to karty emigracyjne, obowiązujące jedynie podróżujących do Rosji. Pozostało mi wypełnić tylko małą karteczkę, której instrukcja była wzbogacona o język angielski. Należało napisać jak się nazywamy, dokąd jedziemy, do kogo, czym mamy zamiar płacić i w ogóle, po jaką cholere jedziemy na Białoruś. Karteczkę ową zabrano razem z paszportem do kontroli.

Jeżeli chodzi o sam pociąg, to zapomnijmy o przedziałach, wagony przypominają te z WKD, tyle, że ławeczki są drewniane i wyglądają jak parkowe siedziska. Zawsządobiega wschodni dialekt w różnych odmianach. Wagon pełen kobiet około trzydziestki, z czego wszystkie z nich to blondynki, prócz jednej, farbowanej na rudo. Miłe panie, tylko siedzą i rozmawiają... dopóki w przedziale obecni są celnicy. Kiedy mundurowi kończą już powierzchowną kontrolę i wychodzą na papierosa, wśród kobiet zaczyna się ruch. Z turystycznych toreb zostają wyciągnięte pojedyncze kawałki surowego mięsa oraz taśma klejąca. Z zainteresowaniem obserwuje jak dwie z czwórki kobiet zaczynają się rozbierać. - No to pięknie się zaczyna - sobie myślę. Ale proces zdejmowania ubrań kończy się na podwijaniu nogawek i zdjęciu butów oraz rajstop. Druga para z fantastycznej czwórki przykładą do nóg koleżanek kawałki mięsa w przezroczystych torebkach i przykleją taśmą. Kiedy całe mięso już ściśle przylega do nóg (nie powiem, u jednej z pań nawet zgrabnych), znika w oka mgnieniu przykryte rajstopami, pod nogawkami szerokich spodni, czarnych u jednej i niebieskich u drugiej pani.

Ale niecodziennie zjawiska rozgrywały się również w innych częściach pociągu. Kobieta siedząca tuż za moimi plecami, przez dziesięć minut sięgała ciągle po coś do torby i... no cóż, bez owijania w bawelnę, bawiła się swoimi piersiami, słusznych zresztą rozmiarów. Kiedy już zgniotła pustą reklamówkę, jej mąż z czułością sprawdził stan biustu, żeby finalnie stwierdzić, że piersi spełniają wszystkie przemytne wymogi. Po czym pasażerowie, zadowoleni, otworzyli bez pardonu puszkę z rosyjskim piwem i sącząc browar plotkowali wesoło aż do przyjazdu pociągu na stację na granicy Unii Europejskiej. Pomijając te wypadki, podróż odbyła się bez dodatkowych rewelacji i dziwactw. Nie dalej jak po pół godzinie drogi pociąg

stanął przy okazale prezentującym się dworcu kolejowym miasta Brześć. Zadowolony, że odbyło się bez zbędnych kontroli, dziarsko wyskoczyłem z pociągu, by zobaczyć, że wszyscy moi współpasażerowie, którzy tak nagle utyli w ciągu ostatnich trzydziestu minut, kierowani są przez panów w zielonych mundurach i oficerskich czapkach ku jednemu tylko wyjściu, a raczej wejściu, do dworca. Jak się okazało, kontrola graniczna odbywała się dopiero tam. We wnętrzu ustawilo się kilka kolejek do pań w mundurach, sprawnie, choć powierzchownie, przeglądających reklamówki i torby podróżne oraz sprawdzających jakieś papiery. Oczywiście, tych papierów nie miałem, ale moja mina Greka, wygląd Niemca i Polska mowa, musiały być okolicznościami łagodzącymi.

- Deklaracja? - padło zza biurka z lichego drewna.
- Kaki deklaracja? - odpowiedziałem wspinając się na *Mount Everest* moich lingwistycznych umiejętności.
- No na cło!
- Aaa! - ot, moja *inteligentna* riposta i wyjaśnienie - Nic do oclenia.

No i to właśnie magiczne zdanie okazało się być czymś w rodzaju: *Sezanie, otwórz się*, kluczem do wszystkich bram, a szczególnie tych prowadzących do miasta. Bowiem kilka sekund później kordon strażników rozstał się niczym wody oceanu, przez który uciekali żydzi z Mojżeszem na czele do Ziemi Obiecanej. Na mojej ziemi obiecanej, gdzie już wszystkie mrówki, z nogami owiniętymi mięsem, z ulgą paliły papierosy, czekała na mnie pani Maria, wraz ze swoją wnuczką - Marysią, u których miałem spędzić trzy kolejne dni w Republice Białorusi.

W czasie pokonywania drogi prowadzącej od dworca kolejowego do ul. Maszerowa, przyzwyczajałem oczy do tak istotnych zmian w krajobrazie jak billboardy, szyldy i tablice pisane cyrylicą, czy lady, których ilość na drogach oceniam na jakieś 70% wszystkich tutejszych aut. Jednak ogólny krajobraz miejski, na pierwszy rzut oka, nie różni się niczym od Polskich miast. Pierwszy mit krążący o Białorusi, że jest to *czarno-biały kraj, gdzie w ogóle nie ma nic i*



wojsko stoi na ulicach, został od razu obalony. Są krzyżące reklamy, choć nieliczne, ale występują sklepy z zachodnią odzieżą (*Adidas, Big Star*), czy eleganckie autobusowe przystanki. Więcej, sygnalizacja świetlna dla pieszych jest wyposażona w liczniki sekundowe, informujące, ile czasu pozostało jeszcze do zmiany światła z czerwonego na zielone bądź na odwrót. Takich bajerów nie ma nawet u nas w stolicy. A pamiętajmy, że, bądź co bądź, jesteśmy na prowincji!

Ale jest coś, na co każdy turysta z zachodu bezwzględnie zwróci uwagę. Mianowicie jest to ogromny pomnik Lenina, który to Lenin wskazującym palcem celuje w katolicki kościół. A co ciekawsze, te dwa obiekty, tak antagonistyczne, leżą przy jednym placu, (niedawno odnawianym, jak się dowiedziałem z lokalnej TV). Skoro już o tutejszych antagonizmach mowa, to warto wspomnieć o postaci biskupa tegoż właśnie kościoła, na który tak dobitnie zwraca uwagę pomnik wodza rewolucji. Ów kapłan właśnie lubuje się podobno w kazaniach poruszających tematy polityczne (to akurat znamy z własnego

podwórka), w których nie stroni od negatywnych opinii na temat Stalina, Lenina, czy nawet samego Łukaszenki. A trzeba wam wiedzieć, że na Białorusi z powodzeniem zajmują oni pozycję św. Trójcy. No cóż, księża wierzą w cuda. Może dlatego biskup pozostaje jeszcze na wolności.

Pani Maria mieszka razem z mężem przy ul. Maszerowa, położonej niedaleko centrum Brześcia. W stylowym, dużym mieszkaniu pełnym książek, na dzień dobry, a raczej *zdrastwujcie*, zostałem poczęstowany lokalnym specjałem, który kulinarną strukturą przypomina nasze pierogi z mięsem, a nazwa tej potrawy to *pielmeni*. Kiedy to, co było moim śniadaniem, zostało już spożyte, a plecak opróżniłem z bagażu, mogłem się już wybrać na spacer numer 1 po mieście, oczywiście pod skrzydłami Marysi, która pełniła rolę mojego przewodnika oraz tłumacza. Marysia mieszka w Polsce od czterech lat, pochodzi z Rosji, ale miejscem, w którym dorastała, jest właśnie Brześć Litewski. Stąd zna to miasto jak własną kieszeń i biegle posługuje się rosyjskim.

Pierwsze kroki stawiane na brzeskich chodnikach skierowaliśmy w stronę najbardziej reprezentatywnego miejsca w tym mieście Twierdzy. Na czterech wyspach, leżących u zbiegu rzek Bug i Muchawiec, usytuowana jest linia murów z czerwonej cegły, które najbardziej przysłużyły się Związkowi Radzieckiemu w czasie natarcia wojsk hitlerowskich na Kresy Wschodnie. Wszystkie tablice i pomniki są poświęcone poległym w obronie twierdzy, a miejsc upamiętniających walki stoczone tu w latach 1941-45 jest o wiele więcej niż za dużo. Nawet Polacy nie chwalać się tak remisem z Anglią na Wembley w 1973, jak tutaj podkreślana jest bohaterska walka z *wrogą ideologią*. Mój pogląd na tą kwestię umocnił tylko mega-gigantyczny blok z kamienia, w którym wyrzyto twarz cechującą się srogą, poważną miną. Pomnik ten poświęcony jest wszystkim ofiarom walczącym na terenach byłego ZSRR. z niemieckim agresorem, a u jego stóp wmurowano rząd tablic z nazwami miast, które w walkach uczestniczyły. Reasumując:

Sława Gierojom!

Idąc dalej szlakiem turystycznym, który moja pani przewodnik urozmaicała licznymi opowiastkami dotyczącymi historii tego miejsca, trafiliśmy na kolejną budowlę będącą dowodem na gigantomanie naszych wschodnich sąsiadów. Główną bramę wjazdową stanowi blok betonu, z którego wytracono fragment mający kształt pięcioramiennej gwiazdy - symbolu Armii Czerwonej. I choć najmniej bym się tego spodziewał po tym monumentalnym miejscu, to właśnie pod tą siermiężną bramą było mi dane spróbować białoruskich lodów o smaku śmietankowym. I w tym miejscu kończył się pierwszy, a historycznie najważniejszy punkt programu.

Nadszedł więc czas na skosztowanie kolejnego miejscowego specjału. Otóż w kilku miejscach Brześcia stoją żółte, miedziane beczki, z napisem *KBAC*, czyli po prostu kwas, a owe beczki zazwyczaj pilnowane są przez starsze panie. I jak się okazało, nie jest to żadna działalność miejscowego chemicznego zakładu, tylko *coca-cola wschodu*, czyli kwas chlebowy, bardzo tutaj popularny, sprzedawany właśnie w takiej formie. Kolorem przypominający piwo napój, podawany w plastikowych kubkach, istotnie jak sama nazwa wskazuje - jest kwaśny. I podczas kiedy Marysia rozpląwała się w pochwałach nad brązową cieczą spożywczą, ja doszedłem do wniosku, że to nie jest jednak mój smak. Zdecydowanie preferuję lody.

Niestety, ani lody, ani kwas, nie zaspokoili naszego apetytu, więc z każdym krokiem dalej robiło się już tylko głodniej. W związku z tym niezwłocznie udaliśmy się do naszej bazy, bo tak mieszkanie pani Marii pozwolę sobie określić, gdzie na obiad czekało nas kolejne danie, pozwalające w pełni chłonąć miejscowy koloryt. *Ucha*, czyli zupa z ryb, o delikatnym, słonym smaku. Polecam!

Po dobrym obiedzie najlepszy jest spacer. A jak spacer w Brześciu, to tylko głównym deptakiem, pełnym pubów, sklepów i młodzieży płaczącej się w dużych grupach bez celu. I kiedy już miałem rzec do Marysi, że *to tak wszystko jak u nas*, w jednym ze spożywczaków przy deptaku okazało

się, że cola, którą nabyłem, jest z akcyzą! I tym nasze państwa między innymi różnią się na pewno, bo w Polsce akcyzą objęte są jedynie papierosy i wódka. No i sama coca-cola była o smaku waniliowym, czego w Lachostanie nie uświadczysz. Kontynuując naszą wędrówkę przy ciepłym, zachodzącym słońcu, trafiliśmy na bulwar kosmonautów szeroki chodnik położony na środku alei między dwukierunkowymi jezdniami. Tu po raz pierwszy byłem świadkiem niecodziennego zjawiska.

Odwieczną prawdą jest, że Polacy i Rosjanie, (czytaj: obywatele państw byłego bloku wschodniego) mają alkohol we krwi i historii, dzięki czemu ilość promili uznawanych w Europie za śmiertelną Słowian nie dotyczy. My przy owej śmiertelnej dawce potrafimy jeździć nawet na rowerach i to całkiem niezłe! W związku z tym nie spodziewałem się, że na Białorusi zastanę rzeszę abstynentów. I owszem, niewiele się pomyliłem, ale to, co mnie uderzyło, to diametralnie inna kultura picia. Białorusini, po pierwsze, piją przede wszystkim piwo, a po drugie, piją je gdzie chcą i jak chcą, na świeżym powietrzu. Nietrudno spotkać tu ludzi pijących piwo w ścisłym centrum miasta, bez żadnych ceregieli, w stylu gazet zasłaniających etykiety itp. Według Marysi, prawo, tak jak i nasze, zabrania spożywania alkoholu w miejscach publicznych. Tyle, że tutaj zwyczaj takiego spożywania piwa ma zbyt głęboką tradycję, by zmienić to wieloletnie przyzwyczajenie jedną ustawą, czego efektem jest to, że poddani Łukaszenki mają w tej kwestii prawo w głębokim poważaniu. Poza tym milicja tego zapisu nie egzekwuje. Więc, o czym w ogóle mowa?

Właśnie takie grupy ludzi, wyposażonych w artefakty o złotym kolorze, co krok można było spotkać na zielonym pasażu łączącym aleje Kosmonautów oraz ukraińskiego poety Tarasa Shevczenki, (którego pomnik stoi również w Warszawie). Młodzi ludzie, modnie ubrani, z butelkami w rękę, wcale nie wyglądali na zmęczonych sytuacją polityczną, czy na gnębionych przez system totalitarny. Ponieważ udzielił się nam ich nastrój, sami skoczyliśmy do najbliższego baru, a była nim barka kołysząca się na rzece Muchawiec. Piwo tanie



jak barszcz, a dobre jak nasze. Oczywiście, jako ten, który musi spróbować wszystkiego co lokalne, wybrałem markę *made in Belarus* Krynica, (co na nasze tłumaczymy jako *źródło*.)

Siedzimy, pijemy, dyskutujemy o damsko-męskich stereotypach i różnicach nas dzielących, (temat-rzeka, idealny na produkcowanie się przy dobrym piwie), nagle rozmowa zostaje przerwana przez dźwięk dzwonka telefonu Marysi.

- Dzwoni mój kolega, działający w opozycji. Pamiętasz? Mówiłam Ci o nim, a ty chciałeś zrobić z nim wywiad. Może być tu za pięć minut.

- Eee... No dobra!

Lajtowa atmosfera, piwko dzierzymy w dłoni, przyglądamy się leniwie przecinającym taflę wody kaczkom, a tu za pięć minut spotkam się w cztery oczy z kimś, kto uczestniczy w walce z ostatnią dyktaturą w Europie. Szybko, ale bez paniki, zgrabnie ukrywając kompletny brak profesjonalizmu, układam kilka pytań. Zdążyłem w samą porę, bo kiedy tylko skończyłem redagować *last question*, na pokład wkroczył osobnik, którego widok bardzo

ucieszył Maszę (ros. zdrobnienie od Marysia). Ubrany na czarno, w głęboko nasuniętej na czoło czapce baseball'ówce, uszach zatkanych słuchawkami, sprawiał wrażenie człowieka, który za wszelką cenę pragnie pozostać *incognito*.

Jednak pierwsze, mroczne wrażenie zostało zatarte już po kilku pytaniach i wymianie zdań, kiedy już siedział przede mną człowiek ostrzyżony na rekruta, bardzo przyjaźnie nastawiony i charakteryzujący się niezwykle szczerym i sympatycznym uśmiechem. Niestety, temat wywiadu zabawny nie był, bo Wojna bardzo dużo opowiedział nam o łamaniu praw człowieka na Białorusi, o zapaści ekonomiczno-gospodarczej i totalitaryzmie. Nasz znajomy wiedział doskonale, o czym mówi, bo w czasie wyborów prezydenckich (których wyniki, nota bene, zostały sfałszowane) siedział w więzieniu właśnie za przekonania polityczne. Słowem, panują tu wciąż reguły, wedle zasady cyrankiewiczowskiej: *kto podniesie rękę na władzę ludową niech wie, że władza ludowa*

mu tę odrąbie.

Na koniec rozmowy, którą w całości tłumaczyła Marysia, tzn. w moją stronę, gdyż Wojna rozumiał po polsku (rok studiował na Uniwersytecie Wrocławskim), zostajemy obdarowani opozycyjnymi vlepkami popierającymi UE oraz opaskami na rękę w kolorze biało-czerwono-białym, z wyrytym, wiele mówiącym, sloganem *Za swabodu*, (za wolność).

Żegnamy się już późnym wieczorem z Wojną na skrzyżowaniu, którego asfalt błyszczy w świetle latarni i znikamy w ciemnej bramie prowadzącej do mojego tymczasowego mieszkania.

Drugiego dnia szary i mroźny ale rzeński świt przywitał nas na ulicach półpiącego jeszcze Brześcia. Miejskie poranki na Polesiu nie różnią się wcale od tych polskich. Autobusy, przystanki pełne ludzi, pośpiech, pierwsze papierosy, zapach kawy dobiegający z parterowych otwartych okien, przymknięte oczy, ziewanie. Powodem, dla którego tak wcześnie z Marysią zaczęliśmy funkcjonować, było



spotkanie z panią Ireną, żoną Edwarda Kufko, znanego malarza polskiego pochodzenia. Pan Edward był więźniem zarówno w obozie nazistowskich Niemiec, jak i komunistycznego Związku Radzieckiego. Przeżycia związane z zarówno hitlerowskim Auschwitz jak i stalino-wskim Gułagiem odzwierciedlił w swoich licznych obrazach, uzyskując aprobatę ze strony krytyków, czego efektem były liczne wystawy jego prac. Większość jego obrazów do dziś figuruje na listach m.in. amerykańskich galerii. Marysia, która opracowuje portfolio artysty, uzyskała od żony nieżyjącego już pana Kufko mnóstwo materiałów: zdjęć, folderów z obrazami, notatek prasowych, a także jego własne wspomnienia z lat niewoli, opisane własnoręcznie. Prócz tego, moja pani tłumacz przeprowadziła wywiad z panią Ireną, mieszkanką małego, stylowego domku o wystroju wnętrza charakterystycznym dla sfer inteligenckich. Sama uczyła kilkanaście lat w szkole gry na fortepianie.

Oczywiście i tu nie obyło się bez wypróbowania regionalnego specjału, gdyż w ramach gościnności pani Irena poczęstowała nas *rokitnikiem* - sokiem wyglądem i konsystencją przypominającym karotkę. *Rokitnik* wytwarzany jest z owoców drzewa, które rośnie tuż za domem naszej rozmówczyni w sadzie, a cały misterny proces tworzenia to nic innego jak miażdżenie małych, pomarańczowych jagód i dodawanie do nich cukru. Właśnie tak się to robi na wschodzie.

Opuszczając progi artystycznego domu państwa Kufko z dwiema teczkami materiałów skierowaliśmy swe kroki w kierunku konsulatu, gdzie Marysia miała odebrać swój paszport z nową wizą. Praktycznie w sąsiedztwie urzędu z białoczerwoną flagą znajdował się miejski targ, we wnętrzu okrągłej budowli, przypominającej nasz sejm przy ul. Wiejskiej w wydaniu mini. Wewnątrz gwar, tłum i ciągły ruch. Mnóstwo stoisk, asortyment obejmuje praktycznie wszystko: wyroby nabiałowe, ryby, słodycze, wynalazki kulinarne, paczkowane mięso. Jeżeli chodzi o handlarzy, to mamy ich całą gamę. Od *babuszek* sprzedających dosło-

wnie po dwa kwiatki, aż do właścicieli wąskich, ale pękających w szwach od towaru budek z całym zestawem batonów, chipsów, napojów itp. Tak prezentowała się pierwsza część zadaszzonego bazaru. W części drugiej, zdrowe baby przy kości, z włosami ufarbowanymi na paletę barw, od różowego, poprzez fiolet, aż do dzikiego blond, sprzedawały na ladach świeże mięso. *Warunki sanitarne? A szto to takiego?* Surowa wołowina i wieprzowina leżą na ladach bez żadnego okrycia, tak, że każdy może ich dotknąć. Zaś białoruskie baby bezpardonowo walczą z zamrożonym mięsem ze świni i krów za pomocą noży i tasaków, dokonując krwawej operacji podziału mięsa na oczach widza, (*pardon*, klienta). Jednak ja i moja towarzysząca od ofiar tegoż widowiska preferowaliśmy bułeczki z powidłami i kapustą (na Boga, oczywiście oddzielnie!) oraz dynię z targu owocowo-warzywnego, stanowiącego trzecią część brzeskiego bazaru.

W tym właśnie miejscu nadszedł czas na wypoczynek i obiad w domu, podczas którego mieliśmy zregenerować siły przed wypadem numer 4. Już start był sam w sobie ciekawy, ponieważ Masza zarządziła, że do naszego celu dotrzemy trolejbusem, środkiem komunikacji miejskiej, niefunkcjonującym już w Warszawie. W Polsce *autobusy na szynach* widziałem jedynie w Gdyni i Lublinie, ale tą tramwajowo-autobusową hybrydą, ledwo co trzymającą się zresztą w kupie, miałem okazję jechać pierwszy raz w życiu. Nasz przystanek na tej trasie stanowił cmentarz prawosławny. Ot, cmentarz jak cmentarz, co może być ciekawego w galerii płyt nagrobnych? A otóż może być i to nie tylko ciekawie, ale nawet wesoło. Zwariowałem? Może, ale jak inaczej określić cmentarz, gdzie ponad połowa nagrobków jest koloru jaskrawo niebieskiego, gdzieś około 1/5 płyt cechuje się seledynową barwą, a i nie brakuje tablic nagrobnych pomalowanych na żółto i to z mocną siłą oddziaływania tegoż właśnie żółtego. Ta różnorodność kolorystyczna to druga rzecz, która oprócz charakterystycznego przecięcia krzyży, różniła to miejsce pochówku od naszych polskich cmentarzy. Tu też było mi dane zauważyć

zjawisko, o którym, owszem, słyszałem, ale nigdy nie byłem świadkiem takiego zdarzenia. W czasie, gdy my z Marysią pochłonęliśmy byliśmy do reszty sztuką fotografii, w niedalekiej odległości od nas, na jednym ze starszych grobów, usiadło sobie trzech panów. Nie zdążyłem im się nawet dokładnie przyjrzeć, kiedy oni już rozlewali wódkę do plastikowych kubków i przygotowywali popitę. Może pili po prostu w towarzystwie koleżki, który odszedł na tamten świat? *Cóż, lubisz, to się bawisz. I finito* w tym temacie.

Popołudnie spędziliśmy w trybie typowo spacerowym. Zajrzeliśmy na cmentarz *Puszkiniński*, gdzie leżą głównie Polacy, (należy pamiętać, że Brześć był kiedyś polskim miastem, mimo że teraz nosi nazwę Litewski i leży na Białorusi). Miejsce to do niedawna było połknięte przez mgłę czasu, jak większość tutejszych rzeczy związanych z Polską (choćby już wspomniany cmentarz garnizonowy), bo rządzący robią wszystko, by zapomniano polską historię tych miejsc. Tylko dzięki staraniom lokalnych polskich organizacji te tereny są doprowadzane systematycznie do stanu używalności.

Była już mowa o *coca-coli wschodu*, a co z fast-food'em? Bo wiedzieć wam trzeba, że na całej Białorusi McDonalds jest tylko jeden i to w stolicy Mińsku. Na wschodzie rolę hot-dogów i hamburgerów pełnią *bliny*. Pod tą nazwą kryją się duże, okrągłe naleśniki, w które zawijane są wszelakie rzeczy, zależnie od potrzeb i wymogów klienta. Sami wybieramy składniki, których obecność życzymy sobie we wnętrzu zawiniętego naleśnika. Oczywiście, cały posiłek przygotowany jest na gorąco. Muszę się jednak przyznać w tym momencie, że co do samych składników, już tak bardzo nie eksperymentowałem, ponieważ zażyczyłem sobie blina z zapiekany m serem i szynką. Masza, jako ta odważniejsza i prawie że tutejsza, zamówiła bardziej wymyślny zestaw, który zresztą równie kombinacyjnie zmieniała przy następnej okazji, bo trzeba zaznaczyć, że to nie był jedyny raz, kiedy skorzystaliśmy z tego ulicznego dobrodziejstwa Białorusi.

Marysia wyznaje ideologię, że głodny facet, to

zły facet. Zgodnie z tą tezą, po uzupełnieniu luki w żołądku sytym i smacznym blinem, byłem odwrotnością *bad mena*. W związku z tym, pełen energii i zapału, zgłosiłem projekt odwiedzenia najlepiej prezentującej się cerkwi w Brześciu. Pomyśl ten moja pani tłumacz poparła i z chęcią mnie zaprowadziła do stóp istnej wizytówki architektonicznego stylu charakterystycznego dla prawosławnych świątyń. Złote ornamenty, pękate kopuły, szpiczaste wieżyczki; ot, cerkiew z definicji. Tu należy dodać, że w samym Brześciu działa sześć czy siedem takich świątyń, i wszystkie one różnią się od siebie stylem, jeżeli nie z zewnątrz to w środku, a dwa główne kierunki to wyposażenie ascetyczne i bogate. Cerkiew, którą odwiedziliśmy, zdecydowanie reprezentowała ten drugi i miłszy dla obiektywu mojego aparatu. U nas, w Warszawie, działają tylko dwa prawosławne kościoły, odpowiednio dla każdego z brzegów Wisły. Praska świątynia jest przykładem bogatego stylu, ale trzeba przyznać, że nawet w połowie nie jest tak wyposażona jak brzeskie miejsce modlitwy.

Uważam, że zdecydowanie popsuto by nam zabawę, gdybyśmy nie odwiedzili tego miejsca w trakcie jakiegoś nabożeństwa, i to z kategorii tych gorszych. Dlaczego gorszych? No cóż, łatwo się domyślić, że w środę po południu, przy pięknej pogodzie, cerkiew odwiedzana jest w 90% przez *babuszki*, które reprezentują resort wiekowy zdecydowanie 65+, a i tak obawiam się, że właśnie dokonałem zabiegu odmładzającego. No, ale czymże jest tabun jedwabnych chustek, dla człowieka, który pochodzi z kraju moherowych beretów. Bułka z masłem. Wkraczamy więc dziarsko do wnętrza, gdzie od razu bije po oczach złoty wystrój (złoto w cerkiewnej symbolice oznacza niebo), a przede wszystkim piękny ołtarz. Pop w czasie nabożeństwa stoi tyłem do wiernych, więc z brodaczem o wysokiej czapie nie było w ogóle problemu. Wyciągam dyskretnie maszynę i z wysokości brzucha staram się celować obiektywem w to, co wydaje się być najciekawsze. Niestety, w pewnym momencie zostajemy zdemaskowani przez oddział

ławkowy i w naszym kierunku automatycznie zostaje wysłany posłaniec *jedwabnych*. Ale nie boję się, bo mała, korpulentna pani jest wyraźnie pozytywnie nastawiona, na co wskazują małe, błyszczące oczy i szczerzy uśmiech wymalowany na pomarszczonej twarzy.

Wygłasza ona nam wykład, który Marysia przetłumaczy mi dopiero później. Z tłumaczenia wynika, że z ust dewotki padły słowa *I tak już nie uzyskacie zbawienia, ale możecie wyłącznie obserwować, nic więcej*. Po reprimendzie uśmiecham się przepraszająco, rzucam ciche *Izwnienici* i chowam powód zamieszania do futerału.

Zamieszania, bo okazało się, że posłaniec nie jest jedynym działaniem, jakie nas spotyka ze strony krwiożerczego oddziału. W czasie naszego odwrotu, z boku kościoła wypada prosto na nas sędziwy, ale krzepki staruszek z okrzykiem *kto tu fotografuje* (albo jakoś tak, ale zachowałem sens wypowiedzi), a towarzyszą mu dwie jedwabne chusty konfidentki. W sumie mogę przyznać, że struktury kółek różańcowych, będące tak wyśmiewanymi, są silne nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Mają duchowych przywódców, charakterystyczne mundury i nakrycia głowy, a wszelkie działania opierają na silnej ideologii, bo z religią wielu próbowało walczyć i historia pokazuje, że jest to jednak zdecydowanie nieopłacalne. Babcie się organizują. Jak wojsko. To robi się niebezpieczne.

Dzień trzeci miał być tym, który mieliśmy spędzić poza granicami Brześcia. Ponieważ zobaczyłem już wszystko to, co najciekawsze w przygranicznym mieście, mogliśmy się wybrać do Kobrynia, o wiele mniejszego miasteczka zlokalizowanego o godzinę drogi pociągiem od naszej bazy. Brześć jest trochę innym miastem niż reszta białoruskich aglomeracji. Poziom życia jest tu wyższy ze względu na przygraniczne położenie. Ja chciałem zobaczyć, jak wygląda życie tych, którzy muszą radzić sobie inaczej niż biorąc udział w biznesie przemytniczym. Po samym mieście miała nas oprowadzać Natalia, koleżanka Marysi pochodząca z Kobrynia, ale studiująca w Mińsku. Na szczęście dla nas spędzała właśnie ostatnie dni w tym miasteczku i jeżeli chodzi o *tourism* nie



byliśmy zdani sami na siebie.

Kobryń jest miastem liczącym 50 tysięcy mieszkańców, co czyni je cztery razy mniejszą miejscowością niż Brześć. Nieoficjalnie jest stolicą biznesu narkotycznego na Białorusi i na działkach pod Kobryniem znajdują się duże plantacje marihuany. Wpływ na to ma na pewno lokalizacja Kobrynia, który leży przy głównej trasie: Berlin-Moskwa, a jednocześnie trochę na uboczu (z dala od granicy i dużych miast), co sprzyja takim interesom. Miejscowość, w której się znaleźliśmy, cieszy się również sławą jednego z największych skupisk żydowskich. Kobryń zawsze należał do *ewreji*, co doskonale odzwierciedla architektura miasta. Budynkiem, który mógłby służyć za symbol tego, z czego słynie miasto, jest niszczone, pochodząca z XIX wieku synagoga. Kiedyś świątynia Żydów, dziś jako nieczynny budynek (co ciekawe, na fasadzie widnieje tablica, wg której synagogę zakwalifikowano jako dobro narodowe i oficjalnie opiekę nad nią sprawuje państwo), służy miejscowym ćpunom za miejsce spotkań i noclegownia. Udokumentowały to dobitnie liczne strzykawki, folijki, koce i odór fekalii otaczający świątynię od zewnątrz. Kiedyś mieszkał tam Bóg, a dzisiaj?

Po tym nieciekawym doświadczeniu nadszedł czas na drugie śniadanie, które zaoferowała nam Natalia w swoim domu. W programie kawa, ciastka, no i nieśmiertelne bliny, tym razem na słodko, podawane z mlekiem. Pycha! Natalia mieszka na przedmieściach Kobrynia, w skupisku domków je-

dnorodzinnych. Jednak tu zorientowałem się, jak ogromna przepaść dzieli pojęcie *przedmieścia* w Polsce, od tego co znajduje się u naszych wschodnich sąsiadów. Nieliczne domy w dobrym stanie, reszta to małe chatki z zapadniętymi dachami, zbudowane z drewna. Trzy, może cztery drogi wyłożone betonem, resztę można zaliczyć w poczet dróg gruntowych. Co jakiś czas między chatkami leniwie przetoczy się odpowiednik naszego PKS-u, a już rzadziej jakaś Łada. Prym niepodzielnie wiodą rowery. Krajobraz żywcem wyjęty z polskiej wsi, oddalony o dziesiątki kilometrów od jakiegokolwiek zurbanizowanej osady? Nie, moi drodzy, to było dziesięć minut piechotą od ścisłego centrum.

Kiedy już słodkości zaoferowane przez gospodynię zostały przez nas dosłownie wchłonięte, nadszedł czas na spacer po wspomnianym wyżej centrum. Pierwsze zdenerwienie z gęstym ruchem wzdłuż alejek ze sklepami, bez rewelacji w porównaniu z Brześciem. Obowiązkowo pomnik wodza rewolucji w samym centrum Kobrynia, główne ulice nazwane na cześć ojców rewolucji.

Troszeczkę na uboczu duży, soczyście zielony park im. Aleksandra Suworowa. Suworow zasłużył sobie w samym Kobryniu na dwa pomniki, park oraz ulicę, którą mu też poświęcono w kilku innych miastach na Białorusi. Taką popularność zawdzięcza sobie tym, że był kiedyś właścicielem miasteczka, zaś w całym kraju jest znany ze swoich militarnych sukcesów. Jednak utalentowanych dowódców, takich jak on, było w Rosji wielu. Czym więc zasłużył sobie Suworow na wyróżnienie? Otóż w 1794 roku dokonał on wraz ze swym wojskiem rzezi warszawskiej Pragi, zadając w ten sposób ostateczny cios Insurekcji Kościuszkowskiej. Wszyscy ci, którzy są źle wspomniani przez Polaków, zasługują tutaj na szacunek. Ci, którzy pamiętają o polskich korzeniach Polesia (bo tak nazywa się region, w którym leżą Brześć oraz Kobryń), są zobowiązani do milczenia. Ci, którzy nie milczą, (chociażby polskie stowarzyszenia), mają kłopoty.

Charakterystyczną rzeczą dla miast byłego ZSRR., wartą podkreślenia, jest obecność w każdej większej miejscowości mini wesołego miasteczka. Duże karuzele, huśtawki, samochodziki, te atrakcje dla najmłodszych są obowiązkowym punktem w każdym głównym parku w mieście. Najczęściej są one tworem z czasów, gdy państwa takie jak Białoruś czy Ukraina nie były samodzielnymi organizmami, lecz republikami Związku Radzieckiego. Rdza pożera wszystkie urzędnictwa mające zapewnić radość dzieciom, a rysunki m.in. nieśmiertelnych *Wilka i Zająca* wyraźnie okres świetności mają już za sobą. Wszystko zgrzyta, piszczy i wygląda, jakby miało się za moment rozpaść. Trudno wyobrazić sobie tutaj bawiącą się dzieciarnię. Prędzej miejscową ludność sączącą piwko w cieniu potężnych drzew, których gałęzie wiszą nad ławeczkami i placem zabaw. W drugiej części parku, za wysokim ogrodzeniem swobodnie chodziła sobie parka pawi. Zaciekawieni podeszliśmy bliżej, żeby zobaczyć wychudzone ptaki z powyrywanych piórami, i co dla tych ptaków najgorsze z wybrakowanym, marnie prezentującym się ogonem. W opowieściach Natalii i Maszy fundamentalnym słowem jest *kiedys*. Ten park, pomnik Lenina, tak hołubiony zresztą, gdyż jak wiadomo *Lenin jest wiecznie żywy*, to wszystko sprawia, że aż słychać krzyk toczący się z każdego kąta sztucznie czystych ulic: dwadzieścia lat temu było lepiej! W Kobryniu doskonale widać, że transformacja z początku lat 90 nie wyszła Białorusinom na dobre. Społeczeństwo przyzwyczajone do gospodarki planowej rzucono na głęboki ocean krwiożerczego kapitalizmu, a nie udostępniono nawet koła ratunkowego, jakim jest idąca w parze z liberalną polityką gospodarczą wolność (słowa, zgromadzeń itp.). Słowem, ustrój, jaki panuje aktualnie u naszych wschodnich sąsiadów, można określić jako totalitarny kapitalizm, co jest oksymoronem, ale istnieje i sądząc po planach Łukaszenki nie wygląda na to, żeby przestał istnieć. Przy tym najgorszym z możliwych połączeń nie dziwne jest, że mieszkańcy Białorusi z sentymentem



wspominają czasy, gdy byli obywatelami ZSRR i chętnie powróciliby do poprzedniego ustroju. Czemu tu się jednak dziwić, skoro i u nas ludzie tęsknią za Gierkiem i chcą dziś nazywać szkoły jego imieniem?

Z tym właśnie przeświadczeniem spacerowaliśmy głównymi ulicami Kobrynia, które jest prototypem moich wyobrażeń o innych miastach Republiki Białoruskiej. Brześć jest uprzywilejowany, ponieważ posiada wentyl w postaci przejścia granicznego. To pozwala wypuścić trochę powietrza z tej pogrążającej się w ekonomicznym chaosie dętki, mogącej lada chwila pęknąć. Jeżeli chodzi o resztę kraju, to wiem, że sytuacja wygląda podobnie jak w Rzeczypospolitej, czym dalej na wschód, tym gorzej. Przecież nawet u nas, w kraju należącym do UE i NATO, istnieje podział na Polskę A i Polskę B. Ale na realia białoruskie Polska B i tak jest bogata.

Popołudniu nadszedł już czas, by opuścić Kobryń, więc koło godziny 16 zostaliśmy oddelegowani do Brześcia z miejscowego dworca autobusowego. Będąc z powrotem

w *naszym* mieście pozwoliliśmy sobie na spacer, ponownie odwiedzając Twierdzę Brzeską w świetle rudego, zachodzącego słońca. To był ostatni akord mojej podróży po Republice Białorusi, ponieważ następnego dnia rano, z powodu upływu terminu ważności wizy, musiałem opuścić ten dziwny, ale na pewno ciekawy kraj, choć biedny i czekający na swoją rewolucję. Pozostaje mi zadedykować Białorusinom piosenkę zespołu Tilt *Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie*, którą śpiewano u nas za komuny.

A relacje tę dedykuję Marysi i z tego miejsca pragnę Jej gorąco podziękować za wszystko, bo bez pomocy, jakiej mi udzieliła, niechybnie bym w tym *innym świecie* zginął!

